Rozmaitości

Dnia 24. Września **Nr 39.** 1836 Roku.

TRAFIŁ SWOJ NA SWEGO.

Z dzieła Józ. hr. Ossolińskiego pod tytułem: *Strachy*, dotąd w rękopismie będącego.

Osiwiały pod karabinem gwardyjak, po odniesieniu, to na runtach, to na zajazdach, ran kilkunastu, w nagrodę raczéj cierpliwości, niżeli zasług wojennych, zaszczycony stopniem kaprala, przybył na zaciąg do Czerska już pod wieczór. Dla licznego zjazdu długo szukał gospody wolnéj; nakoniec ledwo na jednę za miastem trafił, rad, że przecie było gdzie głowę skłonić, ani się nad tém zadziwił, że kiedy wszędzie goście ledwo się jedni na drugich mieścili, ówdzie czysto zastał, jak wymiótł. Nie łasy gospodarz na drabią zapłatę wyjawił mu sam przyczynę tego, a to tę, że straszyło, i że rzadki z całym grzbietem wyjeżdżał.

»Banaluki!« rzekł kapral, »nie raz się djabeł poskrobie po czuprynie, niżeli się do mojéj zerwie; macie miód? tytoń? pieczonkę?... Brawo, kiedy to jest; reszta furda;« wziął się pod pachę i gwizdał.

Zaprowadzono go tedy ze świécą do gościnnéj izby, połknął duszkiem pełną sklanicę, połknął nie oddychając drugą, przepadła i trzecia; nakrzesał ognia, zapalił fajkę, i z gęstą fantazyją na złego ducha czekał. Bije dwunasta, nie widać stracha; bije piérwsza, nie widać... popijał każde uderzenie zégara — o drugiéj obaczył u flaszy dno przezroczyste, obaczył i świéc dwie, zamiast jednéj; grzmotnął na tryumf flaszą o ziemię; szkło jeszcze dzwoni: aż oto przeraża go srogi brzęk kajdan! Razem otwiérają się o swojéj mocy drzwi na rozcież, wchodzi coś czarnego, skrępowanego łańcuchami, iskrzy z ust ogniem!... Nie wiém, ktoby nie zemdlał przed takim djabłem! Drab nie zemdlał, ani nawet fajki z gęby nie wypuścił; owszem, jedną ręką ściągnął ku czuprynie strachowi, a drugą dobywszy furdymentu, kilka mu płazów po grzbiecie wygolił.

Strach nie przywykły do takiéj uczty, wrzasnął z bolu; junak zmiarkowawszy gracza, nuże się od ucha na niego zamierzać.

Strach poznał, że nie przelewki. Ów wywija szabliskiem; on ręce składa, pada na kolana. Świstnął zamach nad głową: »Ej, dosyć tego panie kapralu,« rzekł biés, »przynajmniéj zostawcie mnie przy duszy.«

»Hultaju!« odpowié kapral, »jeżelić skóra nie świérzbi, spowiadaj się, kto jesteś? czego potrzebujesz?... Nuże łotrze! przysięgam Bogu jak płatnę, na pół cię, na ćwierci cię rozpłatam, na hultajski bigos rozsiekam.«

Mój strach szczérzéj się bije w piersi, niż na Wielkanoc przed plebanem.

»Parobekem karczmarski!« mówi, »a imię mi Błażek; kocham Kaśkę, dziewuchę gospodarza; Kaśka też na mnie się nie krzywi; tatusiowi to tylko i matusi nie do woli. Tłukę się tak co noc, a krzyczę: »Nie dam wam odpoczynku, panie gospodarzu, póki nie dacie Kaśki za Błażka!« Tego czarnego płachcia pożyczył mi dziad koscielny z marów. Łańcuchy poodpinałem od pługów. Więcej nie wiém. Wielmożny panie, nie wydajcie mnie przed panem gospodarzem. Komuby się zmełło, a mnieby się skrupiło... Byście też w to jako chcieli poradzić, żeby Kaśka moja była.«

»Hola, hola! stój!« oburza się żołniérzysko. »Co ja, ja kapral Burdasiewicz, jużto powiem, żem się przeląkł? Sto krocset milijonów djabłów! i to cyfra.«

»A któż wam to mówi, mój dobrodzieju,« ozwał się na pół umarły strach, »byście tak

powiadali, że was biés zmordował. Potraficież jeno w to, żeby Błażek miał Kaśkę, wam z niemi będzie błogo. Przyjdziecie sobie do nich, kiedy się wam spodoba; najécie się, napijecie się, nie dacie i halerza. Bogdaj mnie poraziło... bodajem...«

Kapral się udobruchał: »Oj Blażku, skoczyliście kadcznie do głowy po rozum. Idźcież sobie z Bogiem, obaczémy jutro.«

Ledwie zaświtało, karczmarz z karczmarką gadają sobie o kapralu: »Żono! (karczmarz do karczmarki) wstańcie, popatrzcie, co się też z nim dzieje... Zawołajcie księdza i dziadów.«

»Miły Boże!« westchnęła karczmarka, »coto temu była za niewola, na umyślnie śmierci szukać? Idę...« alić w progu spotyka kaprala: »Wszelki duch chwali pana Boga!« zawołała.

»Nie bójcie się, pani karczmarka!« odezwie się kapral; »każcie dać kubek gorzałki. Żywyciem jeszcze! Trafił swój na swego! On ci też bywał kapralem. A wiecież kto to? pradziadek wasz... Oj, nie ladaćto był wojak, miał on jedynaczkę córkę, którą zrękował był z Wawrzkiem, a ten Wawrzek był pradziadem Błażka, tego, co u was za parobka; potém nastręczył się tłuściejszy pachołek, pradziaduś wasz wołał go, a Wawrzek poszedł pod ławę. Nieborak! co też on teraz za to cierpi. Powiedział mi, że pokutować musi, póki go która z rodu jego nie wyzwoli, idąc za jakiego krewniaka nieboszczyka Wawrzka: »Tłukąc się co noc po całym domu, krzyczę, mówił, »aby karczmarz i karczmarka dali swoję Kaśkę za Błażka, ale żaden mnie nie słucha; pożałują oni tego.«

Uwierzyli staremu szalbiérzowi prostacy, wydali córkę za Błażka, i wesele szumne sprawiali. Kapral upił się jak cztéry dziéwki. Jeszcze i potém, gdy na drugą karczmę Błażek i Kaśka poszli, dzień w dzień u nich pił. Bógdajby był zdrów pił, byle sam.

Uprzykrzyło się Błażkowi, że kogo złapać mógł, prowadził i raczył. Kiedyś aż mu się prosił: »Panie kapralu! pijcie wy siła chcecie, choć byście się też i kąpali w gorzałce, niech wam to będzie na zdrowie; aleć dla waszych przyjaciół przyjdzie mi pójść z żoną i z dziećmi na dziady!«

Kapralowi na te słowa wyskoczył ogień z twarzy: »Takto!« zawoła, »cyganie! krzywoprzysięzco!...« nie domówił i pobiegł.

Pobiegł najprzód do teścia Błażkowego; tam wszystko co miał nie powiadać, powiedział. Pobiegł potém z teściem do wójta; zgromadził się cały urząd. Karczmarz dla sławetnéj ławicy stawiał co żywo garncami trunek, im więcéj się ciągnęła sprawa, tém więcéj się ćmiła. Nakoniec przecie wszystko wyszło na wiérzch. Kaśkę byliby wsadzili do kładki, gdyby była zawczasu nie umknęła. Błażka wywołaliby byli z miasta, gdyby i on był nóg za pas nie wziął. Teść musiał grzywny za oboje zapłacić, kapral pić odtąd za swój grosz. Bogu dzięki, że pana wójta, po takiéj ciężkiéj pracy, głowa nie bolała dłużéj, jak od pełni do nowiu.

PODRÓŻ
NA STATKU PAROWYM AUSTRYJACKIM
PO DUNAJU I MORZU CZARNÉM
Z WIEDNIA DO KONSTANTYNOPOLA.

Przez C. W. H.

(Ciąg dalszy.)

Poniżéj progu Toiko, około którego w r. 1834 tysiąc robotników przez dwa tygodnie pracowało, natrafiamy na piérwszą Trajana tablicę, któréj napis całkiem jest zatarty. Wyraźnie postrzegłem na prawym brzegu szczątki ścieżki flisowskiéj, zrobionéj przez Rzymian, któréj osobliwa budowa przypomniała mi owe rzymskie gościńce, znajdujące się w blizkości Rzymu, oraz w albańskich i sabińskich górach. Skała Treskowacz groźnie wznosi się nad powierzchnią Dunaju na 360 sążni. Tutaj już słychać szum przerażający Istoczy, gdzie nietamowany żywioł w całéj występuje dzikości. Więcéj zajmującą jeszcze jest pieczara Greben, w któréj otworze rzéka, na 200 sążni ścisnięta, nagle wylewa się w łoże 1000 sążni szérokie. Płynącym zdaje się, jakoby tu żeglowali po wzburzonem jeziorze. Na serbskiéj stronie leży Milanowacz, założony przez księcia Miłosza. Poniżéj spotykamy trzy wieże z średnich wieków, zwane Trykola. Przy Juczy, gdzie jest ostatni wodospad, Dunaj skręca się nagle ku północno-wschodniéj stronie. Odtąd spokojnie odbywa się żegluga aż do Kazanu, gdzie strumień między dwoma prostopadłémi ścianami skały zwęża się na 87 sążni, i ma 28 sążni głębokości. Wysiedliśmy na ląd dla przypatrzenia się pracom około nowego gościńca. Jaki uderzający widok skrzętnéj pracy i sztuki

otwiéra się w téj zawsze melancholijnéj i opuszczonéj okolicy! Mularze, cieśle, kamieniarze, inżyniery, pracują na wyścigi około pięknego dzieła, które pod zarządem hrabi Szczepana Szechenyi zbliża się do upragnionego kresu i najwięcej przyczyni się do rozszérzenia błogosławieństwa handlu na południową granicę. Dyrektor pan Vasarhelyi, człowiek łączący do ścisłych wiadomości dojrzałe doświadczenie i polor światowy, przyjmował nas najuprzejmiej i sam wszystkie pokazywał roboty. Gościniec, który służy oraz za ścieżkę flisowską do ciągnienia statków pod wodę, całkiem jest murowany, i może iść w porównanie z najpiękniejszémi gościńcami w Europie. Drogę tę przebijać trzeba było przez strome skał ściany, które tak są twarde, że rozsadzaniem nie wiele dokazać można; dłuto i oskard jedyne są narzędzia w téj pracy, wymagającéj cierpliwości żelaznéj. W jedném z miejsc najpiękniejszych znajduje się obszérna, bluszczem zasklepiona pieczara, dzieło przyrody. Pod onéj sklepieniem postawiono małą, schludną gospodę. Ustron ta wielce jest powabną. Posępna samotność okolicy, u stóp szumiący Dunaj, nad głowami olbrzymia skała Sterpecz, która na cię spogląda ze swojego wierzchołu, i ta ciemna pieczara, wszystko to tworzy obraz głęboko przejmujący duszę. Bałuch skał rozsadzonych minami, kiedy niekiedy rozlegał się w jarach i jaskiniach. Z trudnością przychodzi opuszczać te miejsca. Wkrótce potém napotyka się inną jaskinię, tworzącą przyrodzony tunnel, który ma 1200 stóp długości, i przechodzi na wskróś górę. Po pół-godzinnéj drodze dostaliśmy się do sławnéj Weterańskiéj - jaskini, leżącéj w Krwawéj-górze, nie raz zlanéj krwią turecką. Jaskinia ta jest obszérną, zawiéra w sobie cysterny, ogniska, kurytarze, strzelnice i szańce. Wchód do niéj jest zakryty. Panuje ona nad całym strumieniem; może pomieścić 600 ludzi załogi, wraz z artyleryją; w dawnych czasach nie jedno ciężkie wytrzymała oblężenie. Jak się pokazuje z napisów, Rzymianie znali już ten ważny punkt wojskowy. Pod jaskinią oczekiwał nas kutter, który tymczasem przez Kasan przypłynął. W milczeniu, jakby zwyciężeni wewnętrznem uczuciem, puściliśmy się w dalszą podróż; lecz niebawem nowe obskoczyły nas obrazy, na widok których serce unosiło się zachwyceniem. Dunaj rozlewał się nagle jak alpejskie jezioro, dokoła lesistémi górami zamknione, tylko w dalekości, między dwoma ogromami skał, połyskała wstęga strumienia. Promień słońca łagodnie przeziérał przez mglistą zasłonę wieczornéj atmosfery, a Dunąj, jakby się pieścił, bez ruchu upływał; nasza łódź płynęła po tém zwierciedle, jak oswojony łabędź, spokojnie; mała wioska leżała po lewéj stronie; z sąsiedniego serbskiego brzegu zalatywały wonie z tysiącznych krzaków bzowych i ziół balsamicznych; wszystko ucichło, jakby w wiliję uroczystości; tylko rozliczne pienia słowików, których ta okolica jest ojczyzną, towarzyszyły jednotonnym uderzeniom naszych wioseł! Od wsi Ogradyna płynęliśmy po serbskiéj stronie, tuż koło drugiéj sławnéj tablicy Trajana, przez którą ów imperator chciał uwiecznić pierwszą swoję wyprawę do Dacyi, około r. 103. Ten znakomity pomnik zniszczony został w części przez rybaków, rozkładających pod nim ogień, jednakże można tam wyraźnie wyczytać: *Imp. Caes. D. Nervae. Filius. Nerva. Trajanus. Germ. Pont. Max(imus)*... Po krótkiéj bardzo przyjemnéj żegludze przybyliśmy do głownéj stacyi w Staréj-Orsowie, gdzie ajent żeglugi parowéj na nas już czekał, i najstaranniéj we wszystkie potrzeby opatrzył.

Otóż więc z Pesztu do Orsowy, przestrzeń 100milową, odbyliśmy w niespełna dniach czterech. Gdy bowiem zwykle aż do przybycia statku parowego *Argo* do Skelakladowy przez dwa dni bawić potrzeba w Staréj-Orsowie, przeto też podróżni nie mogli lepiéj tego czasu użyć, jak robiąc wycieczkę w powabną okolicę, to jest: do słynących od dwu tysięcy lat kąpieli Herkulesowych, nie daleko Mehadii, odległych tylko o 4 godzin drogi. Ku odbyciu téj przejażdki wszystko jest w Orsowie przygotowane. Gościniec do Mehadii, jak wszystkie gościńce na wojskowéj granicy jest wyborny, i wszędzie makademizowany. Droga prowadzi wzdłuż Czerny, urozmaicona to przyjemnémi, to okropnémi widoki przyrody. Milowy wodociąg, utrzymywany miejscami jak najlepiéj, dowodzi, jak wysoki stopień cywilizacyi panował niegdyś w tych stronach. Sama Mehadia, dokoła wysokiemi skałami zamkniona, leży bardzo romantycznie. Jéj źródła, wyjąwszy zródło Reikones w Is-

landyi, są najobfitszémi w Europie, i obdarzone nadzwyczajną uzdrawiającą siłą. Co krok natrafiasz tam na pomniki z rzymskich czasów. Wizyta u paszy Nowéj-Orsowy należy również do zajmujących wycieczek. Turecka to twierdza, cokolwiek zrujnowana, leży na dunajowym ostrowie, o pół godziny drogi niżéj Staréj-Orsowy. Pasza, który nie wielkie ma dochody, i powiększéj części żyje tylko ze wsparcia księcia Miłosza, jest bardzo ukształcony i grzeczny Muzułman, mówi po francuzku i włosku, lubi konwersacyję, pije szampan i jednę tylko utrzymuje żonę. Z twierdzy, którą się ogląda tylko w towarzystwie urzędnika zdrowia, zjeżdza się do Wodickiego młyna, gdzie strumień Bagna odgranicza Austryję od Wołoszczyzny; poczém wstępuje się na przylądek Allion, zkąd obszérny, wspaniały otwiéra się widok. Szczególniéj uderza tak w Staréj-Orsowie, jak i w całéj Banacko-wojskowéj granicy, różnorodna mieszanina narodów. Spotykasz tam Wołochów, Illiryjczyków, Greków, Niemców, Węgrów, Serbów (Raiców), Włochów, Ormian, Turków i Cyganów. Mieliśmy także sposobność w dzień Sgo Jérzego widzieć narodowy taniec wołoski, zwany *szok*, w którym nadzwyczajnie nas zachwycały młode dziewczęta, ustrojone w kwiaty, w swoich bardzo wytwornych narodowych ubiorach. Krótką trzygodzinną przestrzeń między Starą-Orsową i Skelakladową odbywają zwykle podróżni lądem, jeżeli obawiają się płynąć przez tak zwane katarakty okropnéj żelaznéj bramy. Gdy zaś gościniec na wołoskiéj stronie zostawał w bardzo złym stanie; przeto woleliśmy krótszą i zajmującą drogą puścić się po Dunaju, i śmiało niebezpieczne przebyć wodospady. Jednak do tego kroku nie potrzeba było nadzwyczajnéj bohatérskiéj odwagi; albowiem Orsowianie, sąsiedni Serbowie i Wołosi częstokroć, bez wahania się, przebywają te okrzyczane miejsca; nawet pewna Angielka, która odbywała z nami podróż z Pesztu do Konstantynopola, nie miała nic do zarzucenia przeciw zamiarowi towarzystwa mężczyzn; tém bardziéj, gdy dniem wprzódy różne towary i nasze rzeczy na wielkim dunajowym okręcie puściły się tą drogą, bez żadnéj szkody. Piękna nowo-zbudowana barka z 8ma zręcznymi dalmackimi majtkami, ze stérnikiem biegłym i doświadczonym wołoskim żeglarzem *(kormanos)*, czekała na usługi nasze. D. 6go maja o 5téj godz. rano opuściliśmy Orsowę i cesarskie Austryjackie Państwo. Nie długo potém, płynąc koło tureckiéj twierdzy Nowa-Orsowa i na przeciw leżącéj spustoszałéj forteczki Elizabeta (po turecku Szistab), posłyszeliśmy z daleka szum wodospadu. Odtąd okolica staje się posępną, ogromne skał massy z obu stron przypiérają do rzéki, i pod powierzchnią wody podają sobie zębate swoje ramiona. Stajemy u żelaznéj bramy *(Porta ferrea*, także *Cataractae Danubii*, po turecku Demirkapi). Dunaj jest tu podobny rozhukanemu leśnemu strumieniowi, którego bałwany z łoskotem rozbijają się o raffy skaliste. Przeprawa ta ma 7200 stóp długości, a 600 szérokości, spad wody w całéj długości 16 stóp wynosi; prędkość biegu jest 9 do 13 stóp na sekundę; cała żegluga przez żelazną bramę nie trwa dłużéj nad 10 minut. Płynęliśmy bocznym kanałem, 10 sążni szérokim, przy serbskim brzegu, który tylko jest żeglownym dla mniejszych okrętów. Lotem błyskawicy łódź nasza pędziła w dół rzéki, tak, że zaledwie pojąwszy blizkość niebezpieczeństwa, jużeśmy takowe przebyli. Przez wysadzenie prochem w r. 1834 najgroźniéjszych raff, największą żegludze uczyniono przysługę; dla tego też spodziéwać się należy, że jeżeli opadnięcie wody, i ochotna chęć wołoskiego i serbskiego rządu posłużą nowym pracom około rzéki, natenczas owa okrzyczana żelazna brama, stanie się żeglowną dla okrętów wszelkiéj wielkości. Rzymianie w celu objechania tego miejsca, olbrzymiém przedsięwzięciem pokonali najgorsze położenie gruntu, murując wygodny boczny kanał, z którego koło wsi Sip pozostały jeszcze szczątki. Po krótkiéj żegludze przybyliśmy do Szkelakladowy, gdzie statek parowy *Argo* oczekiwał na nas. Na placu przystani widać tylko kilka nędznych chat wołoskich; nawet sam ajent, p. Lehman, mieszka ze swoją rodziną na okręcie. Teraz zaś porządny budynek tam stanie, aby podróżni mogli znaleźć wygodną gospodę i nie być zmuszonymi czekać do ostatniéj chwili w Orsowie na przybycie statku *Argo*. Cała scena na raz przybiera cudzoziemskie piętno. Łańcuch gór stromych ciągnie się na północ ku siedmiogrodzkiéj granicy; Dunaj zaś rozléwa się na małéj płaszczyznie; lewy brzég

wołoski przedstawia nieprzerwaną jednostajność żyznego zbożowego kraju, przeciwnie prawy brzég serbski i bulgarski, ocieniony jest pagórkami, które sprawiają bardzo powabną rozmaitość. Nieznane nam postacie otoczyły nas ciekawie: bylito Wołosi, z długiémi, powiewnémi włosami, w sandałach i w białym szérokim kaftanie, przypominającym togę rzymską; także Serbowie i Bułgary z długiémi wąsami, w czerwonych czapkach i w szérokich fałdzistych spodniach; Turcy łatwi do poznania po turbanie, po fesie, po jasnobarwnym stroju i długich cybuchach; nakoniec popi, i wołoscy oficérowie w niebieskich, z żółtémi wyłogami mundurach i przy szlifach. Niezwłocznie wsiedliśmy na pokład *Argo*; podniesiono kotwicę, nadano ruch machinie, i odbiliśmy od brzegu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LIST PIĄTY
LUDWIKA BAŃCZAKIEWICZA.*)

Baltimore d. 1. czerwca 1836.
(Stany Zjedn. Ameryki półn.; Stan Maryland.)

Już przeszło pół roku, jak miałem przyjemność pisać W.P.Dobrodz.; ostatni mój list był z Hiszpanii, z Mahon, na odjeździe do Ameryki i mam nadzieję, że on doszedł rąk przeznaczonych. Od czasu napisania go nie byłem pewny, gdzie się znajdować mogę i to było powodem, dla czego odmówiłem sobie przyjemności listowania przez tak długi przeciąg czasu. Opuściłem Mahon (w Minorce) na liniowym okręcie *Delaware* o 110 działach cięzkiego wagomiaru i niosącym banderę admiralską, w połowie listopada r. 1835, udając się do Stanów Zjednoczonych. Dowodzący nim komodor Patterson wracał do domu po trzech-letniéj służbie na Morzu Śródziemném, i miał z sobą na okręcie rodzinę swoję, to jest: żonę, trzy dorosłe córki i dwóch małych chłopców, którzy byli kadetami w służbie morskiéj. Trudno sobie wystawić, do jakiego stopnia wygody są doprowadzone na morzu; tak n. p. komodor miał na okręcie krowę, aby mieć codzień śmietankę do kawy, a pomieszkanie jego, składające się ze ctérech duzych pokoi, z fortepianem, z wygodnémi sofami, z wytwornie zastawionym stołem, w niczém się nie różniło od pięknego pomieszkania na lądzie. Wszyscy oficerowie, należący do okrętu, mają oddzielne małe pokoiki o jedném oknie, i na takim okręcie jest zwykle ich kilkunastu, lecz tą razą, iż okręt wracał do domu, oprócz służbowych wielu było podróżników, z których jednym i ja byłem, więc sale nasze jadalne miały zupełnie minę oberzy, gdyż nas siadało dwudziestu kilku do stołu i chociaż byliśmy trzy miesiące na morzu, mieliśmy ciągle świéże jadło, to jest nie wołowinę, lecz drób, baraninę, prosięta, ptactwo i t. p. Po wyjściu z Mahon wstąpiliśmy do Palmy (w Majorce), gdzie komodor chciał kupić i kupił kilka osiełków, dla rozmnożenia ich w Ameryce, gdzie są bardzo drogie; w Majorce zaś jest najlepsza rasa z całéj Hiszpanii i niektóre, szczególnie samce, płacą po 800 do 1000 złp. Biédny kraj Ameryka, że tak drogo osły opłacał! mogłaby ich taniéj dostać nie w jednym błogosławionym kraju Europy, a do tego gadających jeszcze! Zabawiwszy tylko kilka dni w Palmie, udaliśmy się do nudnego Gibraltaru, gdzie prócz czerwonych Anglików, i co do twarzy czerwieńszéj jeszcze, jak lord Byron powiada, dziwnéj mieszaniny azyjatyckich Żydów i Maurów, z na przeciw leżącéj Afryki, nic tam nie było do widzenia, szczególniéj, iżto był już czwarty raz mojéj tam bytności. Zachodni wiatr wiejąc nie pozwolił nam wyjść przez parę tygodni pod żagle, w cieśninie bowiem jest tak silny prąd, iż trzeba również mocnego wiatru od wschodu, aby ją przejść można. Wypłynąwszy nareszcie na széroki Ocean, skierowaliśmy drogę naszę ku Maderze. Bardzo byłem rad temu, iż mieliśmy tam wstąpić, spodziéwałem się bowiem, iż będąc tak blizko Wysp Kanaryjskich, może wstąpiémy do nich; w tém jednakże nadzieje moje były zawiedzione. Po kilkunastu dniach nudnéj i dżdżystéj podróży, w niedostatku pomyślnych wiatrów, gdyż okręt będąc naładowany żywnością i wodą na sześć miesięcy, był dosyć cięzki, zawinęliśmy nareszcie do Madery, lecz tu istotnie wszystkie nasze przykrości zostały łatwo zapomniane. Madera nie była znana Rzymianom, lecz sądzę, że gdyby ją byli znali, byliby jéj zapewne dali także nazwisko *szczęśliwéj*, jak nazwali Wyspy Kanaryjskie. Wystawmy sobie nieprzerwaną wiosnę, nigdy upału i nigdy zimna, niebo nigdy niezachmurzone, błękit jasny i czysty, ziemia w wysokim stopniu urodzajna, położenie górzyste i romantyczne, jak sobie tylko życzyć można i wino równe nektarowi dawnych bogów, a mieć będziemy obraz Madery. Lecz jak nic nié ma w naturze, coby swéj niemiłéj strony nie miało, tak i tutaj jest nieszczęście, że ta zachwycająca wyspa w tak złém znajduje się ręku. Portugalczycy jestto zapewne najniechlujniejsza rasa ludzi, która istnieje; brudni, odarci w najwyższym stopniu, mnóstwo kalék, skutkiem niedbałości, a może i ubóstwa matek, kobiéty brzydkie i niechlujne; powiadają i to za rzecz pewną, że kobiéty

*) Obaczyć: Rozmaitości Lw. Nr 9. i 10. z bież. roku.

w Maderze nigdy się nie myją, wycierają tylko twarz suchym ręcznikiem, dając za przyczynę, że od wody psuje się płeć, i że kobiéty angielskie swoje piękne twarze częstém umywaniem rujnują. Z powodu niedostatku dróg w tak górzystym kraju, wszelka podróż odbywa się konno, lecz damy niektóre przekładają gatunek lektyk, które nie takie jak u nas, lecz w kształcie długich sof, z baldachinem nad głową. Sofa jest zwykle aksamitna, ozdobiona równie, jak baldachin, srébrnémi lub złotémi frendzlami; wszystkoto niesione jest przez dwóch ludzi, którzy mają to zawieszone na drągach i sznurach, i którzy niosą to z zadziwiającą szybkością i pewnością po najzdradniejszych przepaściach, podpierając się laską długą, w żelazo okutą, którą w prawéj ręce trzymają. Piękność ręcznikiem wytarta spoczywa, leżąc pochylona głową na poduszce, zakwefiona, i tylko w zgrabnym buciku wyglądająca nóżka i czarne błyszczące na wskróś kwefu oczy, każą się domyślać o wyższym, lub niższym stopniu piękności, do którego nieznajoma należy. Cały ten ekwipaż, który się tutaj *palankinem* nazywa, ma zupełnie oryjentalną postać i jest bardzo powabny dla oka. Choć w środku bogactw natury lud jest tu bardzo biédny, skutkiem zapewne głupoty swojéj i innych przyczyn, których wymienić nie mogę. Handel cały ogromnéj massy wina jest w ręku kilku kupców angielskich i amerykańskich, którzy zawsze wiedzą jak pieniądze zrobić można. Myśmy byli najgościnniéj przyjęci od konzula angielskiego, który jest zarazem konzulem amerykańskim, i który wziął sobie za punkt honoru, aby nam czas, ile można, uprzyjemnić. Madera jest zwykle miejscem zjazdu osób, ciérpiących na piersi i kiedy zima zaczyna swe panowanie w Europie, można zawsze znaleźć tu bardzo dobre towarzystwo, szczególniéj angielskie. Madera nié ma żadnych starożytności, będąc już w średnich wiekach odkrytą; zrobiwszy więc kilka wycieczek w głąb kraju dla widzenia winnic i bogactwa ziemi, nie pozostaje dla cudzoziemca nic więcéj do widzenia. Zabawiwszy kilkanaście dni, i wziąwszy dobry zapas przewybornego wina, puściliśmy się w drogę ku Indyjom zachodnim Madera leży mniéj więcéj pod 30 stop. szérokości północnéj, spuściliśmy się zatém na dół w chęci dostania tak zwanych wiatrów *peryjodycznych*, wiejących zwykle od równika do 23. lub 24. stop. północnéj i południowéj szérokości, i tym razem byliśmy bardzo szczęśliwi, znalazłszy je prawie pod stop. 28m. Żegluga w tych wiatrach jest niewymownie przyjemna, wiatr wiejący nieprzerwanie od północnego wschodu, powietrze łagodne, nocy jasne, błękit czysty w wysokim stopniu, okręt może iść prawie bez majtków, czasem tylko będzie cisza przez parę godzin i znów łagodny wietrzyk powieje. Wiatrami temi nie płynie się szybko, to jest nie więcéj jak półtory mili polskiéj w przecięciu na godzinę (rozumić się dniem i nocą), lecz zato wiatr jest pewny i zawsze pomyślny. Co sobie Krzysztof Kolumb myślał, gdy wpadł między te wiatry, które go ciągle niosły od domu i przeciwko którym płynąć nie można? Nie wiém i w historyi wyprawy jego nié ma o tém, jak tylko, że ludzie jego byli bardzo niespokojni, nie wiedząc, jak będą mogli wrócić do Hiszpanii. Po 26 dniach od opuszczenia Madery, kołysani temi milémi wiatrami zobaczyliśmy ziemię, to jest Santa-Cruz, duńską w Indyjach zachodnich posiadłość, lecz nim ją opiszę, muszę wspomnieć o okropném zdarzeniu, któreśmy przed zawinięciem mieli. Będąc na środku Oceanu, spotkaliśmy angielski okręt kupiecki, który dał nam znak, że jest w potrzebie; zatrzymano więc okręt i posłano do niego łódkę dowiedzieć się, czego potrzebuje. Powiedział, że kilka dni temu majtek spadłszy z masztu, złamał nogę, i że prosi o przysłanie lékarza, któryby go opatrzył. Stosownie więc posłano lekarza, i w ciągu, kiedy czekamy jego powrotu, słyszymy na naszym okręcie wybuch, jakby z działa. Kłęby dymu rzucają się z dołu okrętu w kierunku, gdzie jest magazyn prochu; szyldwach, stojący nad magazynem, wybiega pokaléczony i odgłos się rozchodzi: »Ogień w magazynie!« Ogień w magazynie, gdzie 300 beczek prochu złożonych, jest wyrokiem niechybnéj śmierci dla każdéj żyjącéj duszy na okręcie; słowem, śmierć dla tysiąca ludzi w jednéj sekundzie! Uderzono w bębny na *alarm*, zawołano ludzi od ognia i w mgnieniu oka sto konewek wodek wylano w korytarz, otaczający magazyn; słowem, zrobiono co służba i rozsądek nakazują, lecz gdyby ogień był się zakradł do magazynu, jak mniemano, wszystkoto byłoby tylko próżną formą, nié ma siły ludzkiéj, którąby była w stanie nas ocalić, wszyscybyśmy piorunem wylecieli w powietrze i śladuby ani nas ani okrętu nie zostało. Jednakże, lubo w tém przekonaniu, wychwalić dość nie można zimnéj krwie i przytomności całéj osady; zacząwszy od komodora do najmniejszego chłopca okrętowego, jak uderzono w bębny, wszystko pospieszyło na swoje stanowiska, i chociaż byliśmy przez kilka minut w ciągłém oczekiwaniu zostania wysadzonymi w powietrze, najmniéjszy nieład, najmniéjszy nieporządek nié miał miejsca. Rzecz się miała, jak następuje: w wigiliję dnia tego, magazynier czyścił magazyn i kilka funtów miałkiego z beczek utrząśnionego prochu zebrano w worek, i miano, jak zwykle, wrzucić w morze. Człowiek, któremu to poruczono, zapomniał o tém, i włożył w kosz, stojący nad magazynem pod latarnią. Nazajutrz

kapral od służby, obchodząc okręt dla objaśnienia lamp, uciał nożyczkami knot, wrzucił w kosz stojący pod latarnią i odszedł; knot przepalił worek, i jak się dostał do prochu, nastąpił wybuch, który rzucił biédnego szylwacha pod sufit, pokaleczonego szkaradnie, posyłając przez otwór nad magazynem będący, kłęby dymu do szpitalu na trzecie piętro. Stosownie więc do wszelkiego podobieństwa ogień był w magazynie, i zaczém dym w tak ściésnioném miejscu pozwolił widziéć, co się dzieje, każdy się spodziéwał zrobić *salto mortale*; tysiące mil z każdéj strony do lądu, choćby chciéć płynąć, to za daleko, a ryb, co zjeść mogą, mnóstwo na około.

(Dokończenie nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

W piśmie mającém nadpis: »Lwowianin,« wyczytałem, że w r. 1835 byłem spółpracownikiem redaktora tegoż pisma, Ludwika Zielińskiego. Nato winienem odpowiedziéć, że nim nigdy nie byłem i nie jestem. Wiadomość zaś o Antonim Malczeskim, jako z wydania lipskiego *Maryi* przedrukowana, nie dla »Lwowianina« była napisaną. Lwów dnia 13. września 1836.

August Bielowski.

Z Krakowa. W tych dniach wyjdzie z pod prassy nowe przerobione i wielce pomnożone wydanie: *Gramatyki języka polskiego*, przez Józefa Muczkowskiego.

Piękność Sławianek. Dziwną jest rzeczą dla czego Niemcy, którzy o wszystkich narodach piszą, a do tego roszczą sobie prawo do gruntowności, o Sławianach najgorsze dają w dziełach swoich wyobrażenie; archeologiczne, historyczne i literackie skarby tego ludu wcale nie obchodzą tych pisarzy *alla Gebhardi*, dosyć dla nich kiedy mogą zbeszcześcić, oczernić jakie z tych sławiańskich plemion, zaledwie znane im z nazwiska — lecz co się tycze oddania hołdu piękności Sławianek (zapewne z bardzo moralnych pobudek) przyznają im zupełny tryumf, i tak:

Jeszcze w najdawniéjszych czasach w dziele: *Lucae de Linda*, *descript. orbis. an.* 1655 i t. d. natrafiamy na te wyrazy: Czém były Ateny w Grecyi, tém dzisiaj Kraków jest dla Polski. Osobliwe panuje tam wykształcenie obyczajów, uprzejmość i gościnność. Płeć żeńska dziwnéj tam piękności i urody, onato nie tylko krajowców, ale i cudzoziemców umié hołdownikami swémi uczynić, tak, że zdaje się, jakoby w miejscu tém miłość wyłączne obrała sobie siedlisko.

Daléj w dziele Rohrer'a o mieszkańcach krajów sławiańskich: »Nie jednę Sławiankę, córkę jakiego leśniczego w Czechach, widziałem z tak pięknémi rysy, że tylko w starożytnéj Jonii mogło się coś podobnego urodzić. Dziewice w wyższéj Krainie odznaczają się ćmiącą białością swojéj bielizny i czystością, któraby nawet wiédeńskiéj modniarce zaszczyt zrobiła.«

W listach pewnego Niemca o Rossyi, następne zdanie natrafiamy: Między rossyjskiemi kobiétami i dziewczętami na wsi, bardzo wiele widziałem takich, któreby Herodot bez namysłu za Amazonki poczytał.

W Dzienniku Konwersacyjnym z r. 1806 czytamy: »Piękne Polki, najpowabniéjsze ze wszystkich kobiet, odrywają się od zatrudnień domowych, aby ująć szablę bohatéra, lub pióro dyplomaty i t. d.« Daléj pewien podróżnik mówi: »Gdybym nie wiele miał jabłek do rozdania, najpiękniejsze oddałbym Polce, która umié swój męzki język w pieszczone akordy zamienić, i attyckim polorem dowcip i rozum z czarodziejskim urokiem połączać.«

* * *

Lady Blessington. Małgorzata Blessington słynie znakomitym rodem, wdziękami, rozumem, szlachetnością swoich uczuć i dowcipem; a najwięcéj tém, że była przyjaciółką lorda Byrona. Zajmowała ona najwznioślejsze miejsce w sercu poety, pomiędzy słodką Mary Chaworth, jego piérwszą kochanką, a groźną Małgorzatą Cogny, między Karoliną Lamb a piękną hrabiną Guiccioli. Lady Blessington jedyną jest może z kobiét, która obudziła świętą i głęboką przyjaźń w tym dziwacznym człowieku, w tym szczytnym wieszczu, w tym szalonym studencie, który łączył w sobie charakter wielkiego pana i dziennikarza, mieszaninę gminu i klass wyższych. Lady Blessington była aniołem stróżem Byrona. W ciągu ich stosunków przyjaźni codzień prawie koiła ona burze nim miotające, uzdrawiała go z nudów i niesmaku, uspakajała boleści gwałtowne téj duszy czynnéj, ruchliwéj, niczém inném tylko swojémi łzawémi oczyma, swoją postacią pogodną, cichą, tchnącą dobrocią i słodyczą. Don Juan i Czajld Harold, te rozpustne, swawolne dzieci, te przesycono libertyny, nauczyli się od niéj szanować i kochać kobiéty.

Teatr maryjonetek w Medyjolanie. *Fantoccini* czyli *marionetki* w Medyjolanie są równie sławne jak *Wieczerza* pędzla Leonardo da Vinci; jakoż tego samego wieczora po mojém przybyciu, udałem się na zwiedzenie onych. Gra ich jest wyborna i w niczém nie ustępuje najlepszym aktorom. Tego wieczora dawano wielki romantyczny dramat: »Książę Eugeniusz Sabaudzki przy obléżeniu Temeszwaru.« Intryga miłosna ciągnęła się przez sześć aktów sztuki, w któréj Girolamo, ów wielki *bajazzo*, cuda dowcipu dokazywał, a poczciwi Medyjolańczycy zrywali boki od śmiechu. Balet wyprawiony między aktami, wprawił mię w podziwienie, albowiem taniec tych drewnianych Taglionych i Elslerek przechodzi wszelkie wyobrażenie; każda z tych lalek przewyższa najlepsze baletniczki Londynu i Paryża. Jeżeli *marionetka* ukończy swoje skoki, a parter obsypie ją oklaskami i wywoła, natenczas wychodzi z poza kulis, oddaje ukłon, kładzie małą rączkę na sercu i nie piérwéj się oddala, aż najdokładniéj sparodiuje wielkich spiewaków i sławnych tancerzy teatru *Scala*. Jeżeli ją wywołają po raz drugi, występuje najchętniéj. Lecz po trzeci raz jeżeli publiczność zaniedba ją wywołać, natenczas daleko lepiéj się znachodzi, niż pani Malibran, bo nie *zaléwa się łzami*, jak owa artystka, gdy nie jest wywołaną trzy lub cztéry razy za każdém przedstawieniem.

Ekonomija polityczna. W epoce Medyciuszów, kiedy sztuki nadobne, przemysł i handel odrodziły się we Włoszech, kiedy na scenę wystąpiła Piza, Florencyja i miasta hanzeatyckie, natenczas w urządzeniu finansów powstały istotne prawa ekonomii politycznéj. Nauka ta winna swój początek Włochom. Zasady Malthusa znajdują się u nich już gotowe, równie jak system handlowy, i jak wszystkie ważne pomysły w naszych czasach ogłaszane i popiérane. Dla czegoż więc dzisiaj całą sławę ekonomii przyznają Anglikom lub Francuzom? dla czego piérwsi onéj twórcowie tak rzadko są wspominani? Oto, bo w czasie, w którym żyli, prawdy te były zgubne dla tych, co je ogłaszali; bo ogłosicieli wtrącano do więzień, skazywano na śmierć, a księgi ich kat oddawał płomieniom na pastwę. Nikomu, jak tylko ekonomikom włoskim winniśmy analizę usiłowań wszystkich czasów, dążących do polepszenia stanu społecznego ludu; są to niezmierne poszukiwania w starożytności ku wyświeceniu téj piérwszéj prawdy; albowiem uczeni ci nie zapominali o tém, że przed utworzeniem czegoś nowego, potrzeba było całą przeszłość miéć przed oczyma.

Ci to ekonomicy zostawili nam klasyfikacyję historyi ekonomii politycznéj na pięć okresów. I tak: piérwszy jest rzymski, drugi barbarzyński, trzeci miast wolnych, czasów odrodzenia, i Ludwika XIV. Jestto podział najlepszy, odpowiadający ideom powszechnie przyjętym.

Drogość czasu. Ludzie myślący, czynni, którzy poświęcili życie swoje bądź dla sławy, bądź dla dobra ogółu, nadzwyczajnie oszczędni byli w roztrwanianiu czasu. Znany z dzielności swojéj lord Brougham, pracując częstokroć do północy w parlamencie, wstaje zawsze o 4téj rano. Dr. Marther, nie chcąc ani chwili czasu nadaremnie stracić, napisał na drzwiach swego gabinetu: »Kto tu przychodzi niech krótko bawi.« Na drzwiach pracowni uczonego Skaligera czytano napis: »*Tempus meum, est ager meus.*« Ulubioną maxymą Szekspira były, te wyrazy: »Czas nadto jest drogi, aby go przegadać.« Lord Byron przyjaciół nazywał złodziejami czasu. Pewien stary prokurator z Chatelet zwykł był témi słowy zbywać natrętnych klientów: »Kochani przyjaciele, straconego czasu nie można włożyć w rachunek;« a ulubioną dewizą pewnego księgarza jest: Czas, to kapitał!

Sławne starożytne naczynie z onyxu. Naczynie to z jednéj sztuki najpiękniejszego onyxu zrobione, ma 5 cali 8 linii wysokości, a 2 cale 7 linii największéj średnicy. Rzeźba na niém przedstawia Cererę i Tryptolema na wozie, ciągnionym przez węże. Dziwne ten antyk w nowszych czasach przechodził koleje. W r. 1630 książę Franciszek Albrecht Sasko-Lewenburski, po zrabowaniu Mantui, kupił to naczynie od żołnierza za 100 dukat. Poźniéj dostało się do Brunświku. Po bitwie pod Jena r. 1806, gdy Napoleon zbliżał się do Brunświku, zabytek ten wraz z innémi książęcémi kosztownościami do Danii uwieziony został. Napoleon znając onego wartość, naznaczył cenę 500,000 fr., ktoby mu takowy dostał. Pułkownik Nordenfels, mający powierzone sobie przewiezienie tego onyxu do Danii, znajdował się w przypadku utracenia go, albowiem na komorze, już wpadł był w ręce celnika francuzkiego, lecz przytomność umysłu służącego, który powiedział, iżto jest stary imbryczek od kawy, ocaliła klejnot. Poźniéj przewieziono go do Londynu, albowiem w Danii nie było dlań bezpieczeństwa przed napoleońską policyją.

W r. 1797 francuzcy żołnierze wzięli z genueńskiego skarbcu szmaragdowy puhar, który Genueńczycy zdobyli niegdyś przy wzięciu Almeryi. Przyniesiony do Paryża, złożony został w biblijotece narodowéj. Genueńscy obywatele największą cześć mieli dla tego puharu; tak dalece, że zapomniano o jego hiszpańskiém pochodzeniu; a powieść, jakoby go używano niegdyś na godach w Kanie galilejskiéj, i z krucyjatami przyniesiono do Europy, nabierała coraz więcéj wiary. Częstokroć w smutnych okolicznościach rzeczpospolita genueńska znaczne summy na ten puhar pożyczała; który, skoro się dostał do Francyi, oglądany był przez ciekawych i zdziwionych paryzkich jubilerów; był on kształtu podłużnego 10 cali długi, a 5 szeroki. Po dokładném przypatrzeniu się oświadczyli kupcy i znawcowie, że ten puhar jest z prostego szkła zielonego.

Akademija francuzka naznaczyła nagrodę 10,000 fr. za najlepszą trajedyję, lub komedyję w 5 aktach wierszem napisaną, któraby równie dobry wpływ miała na obyczaje, jak i żądaniom sztuki odpowiadała.

Sławny francuzki romansopisarz Balzac odbywa podróż po Włoszech; ostatniemi czasy znajdował się w Turynie. — Znany francuzki pisarz dramatyczny Scribe przedsięwziął podróż po Holandyi.

W Rossyi wyszła nie dawno: »Historyja wypadków wojennych w Turcyi w r. 1828 — 1829,« podług urzędowych źródeł, przejrzana przez księcia Paszkiewicza, pomnożona niektóremi uwagami, oraz jeograficznémi i statystycznémi wiadomościami o posiadłościach rossyjskich w Kaukazie i o rozmaitych prowincyjach Turcyi azyjatyckiéj. Dzieło to składa się z 2ch części z dodanym do niego atlasem.

OElenschläger, duński i niemiecki poeta, napisał nową trajedyję: Sokrates.

Budowa węgierskiego teatru w Peszcie olbrzymim postępuje krokiem; malowaniem dekoracyi trudni się pan Neefe. — Tym sposobem Węgry szczycić się będą dwoma narodowémi teatrami (drugi w Budzie).

Jakże często godła (szyldy) na domach odpowiadają swojemu przeznaczeniu! I tak w Peszcie jest dom nazwany: *Zum lustigen Fritz*, a w domu tym znajduje się — szpital.

Ojciec syna napomniał, aby pisząc uważał dobrze na ortografiję: »Ej, mój ojcze kochany (odpowić syn), ojciec mię męczy ortografiją; jakże ją mogę dobrze znać, kiedy nawet najpiérwsi uczeni nie mogą się jeszcze o to zgodzić.«

»Jedno słówko, Najjaśniejszy Panie!« rzekł młody żołnierz do Frederyka II., podając mu prośbę o stopień porucznikowski. »Mów, ale jeżeli dwa słowa powiesz, każę cię powiesić,« odpowiedział król. »Podpisz!« rzekł żołnierz. Uderzony taką przytomnością umysłu, król się przychylił do jego żądania.

Pewna stroskana młoda wdowa w Orleanie zamówiła przed dwoma laty, w czasie śmierci swego małżonka, miejsce na dwa groby na cmentarzu; jeden dla nieboszczyka, drugi dla siebie, albowiem i po śmierci nie chciała być rozdzieloną od swego małżonka. Z powodu nowéj ustawy tax na groby, nie zaraz zapłacono za te dwa miejsca; nie dawno jednakże wezwano wdowę, aby 48 franków złożyła. Lecz rzeczy się zmieniły, bo w tym przeciągu czasu wdowa wybrała sobie inne miejsce obok innego małżonka, przeto też wzbraniała się zapłacić. Z tém wszystkiém sąd skazał ją, aby, albo przy piérwszym małżonku spoczywała, lub przynajmniéj zapłaciła za grób swój.

Cesarz Napoleon odbywał przegląd garnizonu w Bruxelli. W szeregu postrzegł on starego sierżanta, na którym znać było długie i ciężkie trudy wojenne, kazał mu wystąpić naprzód, i tak doń swoim sposobem przemówił: »Znam ciebie; jak się nazywasz?« — »Noël, Najjaśniéjszy Panie.« — Zkądeś rodem?« — »Z Belgii.« — »Byłeś we Włoszech?« — »Byłem, Sire, doboszem na moście Arcole.« — »Gdzież zostałeś sierżantem?« — »Pod Marengo, Sire.« — »A poźniéj, gdzie byłeś?« — »We wszystkich większych bitwach.« Cesarz kazał mu nazad wstąpić do szeregu. Zapomniano go awansować. Napoleon pomówiwszy słów kilka z pułkownikiem, wezwał znowu Noëla: »Zasłużyłeś na krzyż legii honorowéj, oto daję ci mój.« Noël nie znalazł słów podzięki, oczami błogosławił cesarza. Pułkownik przedstawił pułkowi nowego kawalera legii honorowéj. A gdy ten upojony radością poglądał na piersi swoję, wykrzyknął pułkownik: »W imieniu Cesarza, sierżant Noël mianowany jest podporucznikiem!« Zprezentowano broń. Nowy ten oficer chciał się już rzucić do nóg cesarza; lecz ten stał nieporuszony i surowy, a Noël drżący nie ruszył się ze swego miejsca. Napoleon dał znak powtórnie i uderzono w bębny. Pułkownik ozwał się donośnie: »W imieniu Cesarza, podporucznik Noël mianowany jest porucznikiem!« Biédny, pomieszany sierżant, nie był już panem siebie, musiano go trzymać; gdy w tém po raz trzeci zabrzmiały bębny, a pułkownik tak mówił: »W imieniu Cesarza, porucznik Noël mianowany jest kapitanem!« i kiedy Noël prawie bez zmysłów rzuca się w ramiona swego dowódzcy, wyjąkując: »*Vive l'Empereur!*« Cesarz zimno i poważnie daléj swój przegląd odbywa.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.